



BEATA OBERTYŃSKA

GŁÓG PRZYDROŻNY

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 77
Tel. 26-68-63

MEDYKA
NAKŁADEM BIBLIOTEKI MEDYCKIEJ
SKŁAD GŁÓWNY: DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ, WARSZAWA
1932

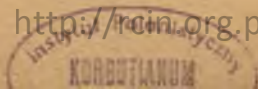
OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁA MARJA JÓZEFOWICZÓWNA

BIBLIOTEKI MEDYCKIEJ OPUS 9

187

Z drukarni Księgarni Polskiej B. Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 1. 27

<http://rcin.org.pl>



Pani

Konstancji Hojnackiej

GLÓG PRZYDROŻNY

Na ciernie wbił mi się świat, jak dal po bokach dróg,
gdy w nią zielone kolce przydrożny wepnie glóg...

Tak się pod wagą łez zmęczona myśl ugina,
jak ta od rannych ros wilgotna pajęczyna...

Świat w sercu mem odbity, tak traci blask jak w szkle
deszczówki, co na głuchem kadzi usnęła dnie —

Trudno... Tak trzeba pono... I serce musi do reszty
zeschnąć i zbabczeć i zczernieć nim w niem dojrzeją pestki...

W TŁUMIE

W gwarze,
wśród ścisku i krzyków,
gdy chwilę, bieżącą tysiącem bucików,
czas zadyszany ściga,
siedzę przy trotuarze
sama, nad głębią koszyka,
gdzie tkwią stłoczone twarze
naiwnych bukiecików...

Świat płynie... Beczą auta
i dudnią dziejów kopyta,
wypadki kroczą w kaloszach
asfalem mokrego chodnika,
a ja — choć nikt nie stanie,
nie spojrzy, nie zapyta,
choć każdy się śpieszy do domu
bo obiad ma być o pierwszej —
przechodniom w roztargnione
i obce ręce wtykam
zmarznęte bukieciki
wierszy...

JEDYNY SPOSÓB

Gdy mróz algi srebrzyste i modre rozpleni
w księżycowych akwarjach szyb i skrzepią jasność
porysuje diamentem w gąszcz mroźnych deseni,
chciałbyś to wziąć — nie oddać — i mieć, mieć na własność!

Kiedy widzisz jak tęcza wietrzeje nad światem,
kiedy patrzysz jak rosa lśni na pajęczynie,
kiedy z gwiazd, jak z piór złotych, noc się pierzy latem,
chciałbyś to wziąć — nie oddać — utrwalić nim minie...

Kasztana politurę długo gładzisz w dłoni,
nic ci po nim a wziąć go zbiera cię ochota...
Zgarniasz puchy topoli gdy je podmuch goni,
skrzydło ważki byś chował i trup ćmy — bo szkoda!

Jest tylko jeden sposób, jedna tylko rada,
by zatrzymać i jakoś przechować „na potem“
to, czym świat w swej cudności do ciebie zagadał:
wiesz o tem!

MÓJ PRZEPIS

Pomysł łapie się w locie jak skrzącą libellę...
Potem w butli, co w słońcu fermentuje tęczę,
na dwie się, trzy i cztery zostawia niedziele...

Tam pomysły złapane mrowią się i chrzęszczą,
mrą i rosną, marnieją, stroszą skrzydeł siatki,
trą oczy i błon oka, gdy im zajdą śniedzią...

Cały zaś tłum owadzi suchy, sypki, gładki,
prze wgórę, w dusznem cieple, słoja gołodziedzią,
na zbocz wklęsłą ruszając w brzękoskrzydłej masie...

Tego wreszcie co pierwszy o szkła brzeg zahaczy,
zimnym sensu eterem — bo trudno inaczej —
pocichu i łagodnie zakrapia się na śmierć...

I dopiero gdy skrzydeł suchy dreszcz zagaśnie,
— taką się ćmę, czy jętkę, ważkę czy motyla —
słowami do papieru ostrożnie przyszpila...

JAK KRET...

Jak kret ślepe, samotne i jak kret z uporem,
w dusznej ciszy przesiąkłej wilgocią i nocą,
męczysz się — głupie serce — niewiadomo poco,
niestrudzone, od głodu aż gorzkie i chore...

Złobiąc kręte błędniki i tajemne przejścia,
w próżnym trudzie zaciekle i godne litości,
rozmiasz się — o serce — jak ten kret, w ciemności,
z tłustym, białym pędrakiem zwiniętego szczęścia...

VARENNES

...Tak często śni mi się, że jadę karocą
czarną, jak wewnątrz czaszki trupiej,
nocą,
poprzez mgieł sennych, nieprzytomną topiel,
poprzez mgły wrogie, upiorne i chore,
ku jakiejś słodkiej, bezpiecznej granicy
przed Życia krwawym uchodząc terrorem...

Sercu — jak zziąjanemu na koźle woźnicy —
każę pędzić naoslep nie załując koni
i już wiem, że się ślady zmyliło pogoni
i już wiem, że granica bardzo niedaleka...

Straszny, nadzieją zadyszany sen,
na który zawsze przebudzenie czeka
nienawistne i wrogie jak karczma w Varennes...

MALMAISON

Czy zawsze przed zaśnięciem, biała Józefino,
opłakać też musiałaś ołowianą łzą
to, co twem nieszczęściem miało być, nie winą,
sama jedna w wystyglę, pustem Malmaison?

I powiedz mi — gdy snu cię zamuliła warstwa —
czy jawił się twym gorzkim, coraz starszym snom,
pod skrzydlatą straż orłom oddany cesarstwa,
— ten co nie chciał być twoim — mały Roi de Rome?

ŻEGLARZU NIEOPATRZNY...

Żeglarzu, nieopatrzny żeglarzu!
Czemuś przeszył pierzastą strzałą
serce moje, gdy nad okrętem
pod złote słońce leciało?!
Płynęliśmy w strony różne
nie wadząc sobie...
Dziś ja — ptaszysko złowróżbne,
w złą spostrzeżone godzinę —
piersią co w krwi zamokła,
plamię ci pokład
i ginę...
Żeglarzu, nieopatrzny żeglarzu,
zabiłeś albatrosa!
Teraz, by z nad okrętu
odegnać zło uroku,
przytroczą mnie towarzysze
ciasno do twego boku
i póki mnie czerw nie stoczy,
nie przeżre słona rosa
a wichry nie rozerwą,
gnić ci tak będzie u pasa
ciężkie, pierzaste ścierwo,
żeglarzu, nieopatrzny żeglarzu!

PRZEZORNOŚĆ

Niech cię męka niczyja ni grzeje ni ziębi.
Miej w sobie obojętność zamgloną i pawią.
Ręce, co się po ratunek wyciągną z przerębli
miń — i wiedz, że jedynie takie, których niema,
będą temi, co na pewne ciebie nie zadławia...

SNY

Sny pocięte, poprute, pozszywane,
sny głupie bez nóg i bez głowy!
Sny bez treści, sensu ni osnowy,
jak ten pstrokaty dywanik na ścianę,
który rozpaczą pociętych deseni
dawno umarłych, zapomnianych sukien,
szwacze nad łóżkiem mrowi się i mieni...

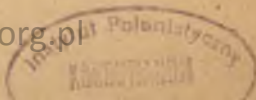
Barw kłębowisko! Dywanie jaskrawy
wpelzły nocą na ścianę a ginący ranem!
Sensie bez śladu sensu, wklęty w skrawki włókien,
w resztki, zżynki, odpadki nieobecnej jawy!
Nim was dzień z pod warsztatu na śmietnik wymiecie,
płączcie się pstre i głupie, plećcie co pleciecie,
sny pocięte, poprute, pozszywane...

SEN W GORĄCZCE

Z początku laził tępo
szlakami pod sufitem,
tam i znowu zpowrotem,
zpowrotem i znowu tam,
aż się zamroczył sam,
aż się zatoczył sam,
twarzą w niesamowite...

Leżało chwilę bez ruchu,
jak gwiazda w puchu...
Potem wstało,
zrobiło się kominem
i trzeba było, jak z sukni,
wywlec się z niego dymem...
Dach był wysoki, spadzisty,
gdzieś bardzo wysoko zawisły,
tylko że zaraz dach
stał się dziecinnym stołem,
którego obie szuflady
czuć było bułką i myszą...

... A nato już niema rady,
że właśnie podłoga rusza
i cieknie wzdłuż parkietów



jak woda dnem rynsztoka...
Nie! Nie! To płynie dach!
Dach lunie wdół zwysoka!
Już się wydyma, wybrzusza,
kogoś przed sobą pcha
i toczy pochyłością,
a ktoś — nikt swój z pewnością —
krzyczy, choć go nie słyszą
i śliskich czepia się blach...

Dach, jak blaszana kra,
sunie się płynnie, ku rynnie...
Wstrząś!
Krzyk!
Na miłość boską trzymajcie mnie!
T o j a!

— — — — —

Bzyknęło dźwięcznie szkło, ktoś ruszył abażurem,
sen szmyrgnął nagle w kąć płaskim, spoconym szczurem...

SUKNIE

Suknie zbudziły się dawno
i żadna już spać nie potrafi...
Całe zmieniły się w słuch
i z cienia,
węższą niespokojnie odchyleniem szafy
wonie lekarstw i wosku, płócien i płomienia,
brzęk modlitwy — płacz — szepty — niepokój i ruch...

Stało się!
Więc się stało!
Lęk nic u losu nie wskórał!
Za chwilę dowiedzą się suknie która z nich?
Która?! Która?!
... Czy ta codzienna, wytarta,
choć całkiem jeszcze możliwa?
Czy tamta lepsza, co plamę
żabotem białym nakrywa?
Czy ta odświętna, w paseczki,
czy tamta czarna od gości,
czy wreszcie ta powłóczysta
od wszelkich uroczystości??

Ta się najbardziej lęka,
bo ma też szans najwięcej...

Jest godna a niemodna,
zleżała materja pęka
i już przy każdej ręce
lekkó rudzieje gipjura...
Nikomú szkoda nie będzie...
Więc ta — czy ta — czy która!

ANIOLY STRÓŻE

Jak strzępki białej mgły,
skrzydła zwiesiwszy duże,
nad trupy całe we krwi
chyląc się bardzo nisko,
obchodzą Anioły Stróże
pobojowisko...

PRZEDWIOSNIE

Deszcz, deszcz, dziś pierwszy wiosenny deszcz po śniegu,
sypnął szumem radosny!

I czarną grzywę nocy, śniegiem pachnącą i cieniem,
czesze zimnym grzebieniem
strug, zeszywniałych w biegu...

Deszcz — ten oszalały zwiastun wiosny,
deszcz pociemku szumiący i pierwszy po śniegu!

Noc wiosenna, za wiatrem kopytami grzmiąca,
kiedy ją deszcz przesyca,
własne, rozmokłe ręce z radości dzikiej kąsa
i tarza się i otrząsa,
błotem chłapie, kałuże roztrąca,
jak niecierpliwa, kara Centaurzyca,
twarz, pragnieniem obłądną, szumowi strug poddająca!

GARŚĆ ZIEMI

Ziemio czarna, wilgotna, którą trzymam w dłoni,
gdzie to tak w twojej burej czarności się chowa
przyszły ogień nasturcji, któryś rozżarzyć gotowa,
czerwień, którą się z ciebie tulipan rozploni,
fijolków ametysty i pąs pelargonji?

Patrzę zbliżona w twą miałość, w której barwy drzemią
i dłoń ściskam, by siłą wygnieść sok tęczy,
który gdzieś w tej suchości ukryć się musiał przede mną...
— Zawsze równie brunatna i jednako ciemna,
ty, co barwami kwiatom uderzasz do głowy,
dziwna jesteś i mądra niepojęcie — ziemiol!

LATAJĄCY DYWAN

Cóż z tego, że mnie żadna mórz linja gwieździsta
i żaden dotąd ekspres, nie zna jeszcze wcale?
Pociąg, to zbyt powoli pełzająca glista
jak na moich podróży rozpiętość i dale...

...Znam Chiny, od malarji żółte i od ryżu,
Japonję papierową, sypką kwiatem wiśni,
mgły Londynu i zmierzchy tęczowe w Paryżu,
chmur drapacze i prerje z szmaragdowej piłśni...

Wiem jak młczy Pacyfik. Wiem jak skrzypią reje,
jak się suwa nad zgiełkiem dziób portowej dźwigi....
Mam w oczach Bagdad złoty, gdy go blask zaleje
czemś słodsze od sorbetu i od makagigi....

Małp głupotą ruchliwy gąszcz lian znam i echem
wiecznej pustki huczące Himalajów stoki...
Pomnę dłoń mą wilgotną świętych sarn oddechem,
turkus Cypru, cytryny i cień ciepłooki...

Zórz polarnych widziałam rozwiane nad lodem
tajnych Boga wyroków pergaminy płowe...
Wiem, że zwrócił bezgłośnie za moim wielbłądem
Sfinks, w oparze księżycy, swą beznosą głowę...

Wszystko wiem! Poco trasy, te szyny i linje?!
Świat jest mój! Bez motorów ni śrub był zdobywan...
... Rozściela się poprostu na szarej godzinie
wyobraźni błękitny, latający dywan...

NOC W WAGONIE

Łoskot kół, czarny łopot nocy za szybami
i ta dalekość gnająca naoslep
przed niewidzącymi jej wcale oczami...

Noc się dłuży w wagonie...
Przedział już ucichł i oślepl,
bo senne powieki jak łupy melonie
zwarły się pod mydlaną banią na suficie...

Przez nocy głębię, czarną jednolicie,
pędzi przed siebie ten jaszczur straszliwy
napadnięty przez iskry od lokomotywy
niby przez lotne roje obłąkanych pszczół...

Jakby wszystkie gwiazdy spadły z nieba wdół
i na szalonej smudze czarnego przeciągu
musiały lecieć przy pociągu...

Jakby na kadłub mknącego jaszczura,
który się grzbietem o wieczność ociera,
lunęła nut bezsensem, zbiegła partytura
jakiejsz pozagrobowej opery Wagnera!

NOC W OBCYM, GOŚCINNYM POKOJU

Okno jednego z gościnnych pokoi
otwarte w ogród czarny o nieznaną twarz...
Za mną senny bzyk muchy, którą niepokoi
smukły płomyk nad jednym z gościnnych lichtarzy.

Na niewidzianym teraz, ciężkim nieboskłonie,
łun śniadych sypkie dreszcze przelatując świecą...
Niebo się im opędza jak od bąków konie,
nerwowej skóry krótką błyskawicą...

Zabami obłąkanie pulsujący staw
i gwiazdy zagubione na niebie dalekiem...
Noc podeszła do okna wonią ściętych traw,
jak czarna, ciepła krowa, łąką pachnąca i mlekiem...

NOC NA MOŚCIE

Noc... Matka gwiazd licznemu stadu...
Most o śliskiej poręczy, a pod mostem staw.
A w stawie, głowami na dół,
znowu gwiazdy, cicho wędrujące wplaw...

Wklęsły bezkres u stóp twych gwiazdami się mieni
i wtedy wiesz przez chwilę jak jest Bogu, który
wychylony przez poręcz czasu i przestrzeni,
w iskrzący pod Nim nisko pył gwiazd patrzy zgóry...

PUSTY COKÓŁ

W kwitnących kaszkach przy mojej drodze
grzeje się w słońcu słup kamienny.

Załośnie stoi na jednej nodze

poważny, senny...

Kiedyś tu pewnie figura z kamienia,

święty, pobożnie rozwiany nad cokół

i barokowo wstecz silnie przegięty,

z tępym uporem bożego natręta,

poprzez wędrowną bawełnę obłoków,

pił chciwem okiem głębię wniebowziętą...

Jak się to stało, nikt już nie pamięta...

Dość, że mu kiedyś tak wionęła mięta

od mokrej łączki pod lasem olchowym

i coś takiego buchnęło do głowy

kiedy zawiąło rzeką i wikliną,

że on, czcigodny i kamienny święty,

jakąś radością nagłą zachłyśnięty,

w kaszki kwitnące z cokołu się rzucił,

rów bujny przebrnął, na drogę wychynął

i jak raz poszedł, tak więcej nie wrócił...

KOŃ

Jak łachman wisząc u dyszla, z głową ciężącą ku ziemi,
czeka cierpliwie nad worem spleśniałej plewy u pyska.
Pogodził się z ludzką przemocą i dziś oczyma smutnemi,
z pod rzęs spłowiałych, żalonych, na błoto patrzy zbliśka.

Ciągnąc tę taczkę żywota, do której los go przykuł,
dowlókł jak codzien do stacji, rozkisłem, jesiennem błotem,
pełen tobołów i ludzi, skrzypiący, ciężki wehikuł,
by pełnym tobołów i ludzi, od stacji wlec go zpowrotem...

I nie wie nic, że go męczą, że krzywda wciąż mu się dzieje,
nie wie co to nienawiść, co bunt, czy gorycz znaczy...
Spleśniałej w szmacie plewy z samego zmęczenia już nie je,
jest senny, cichy, cierpliwy i nie wie, że mógł inaczej...

Za chwilę zadudni pociąg. Wypluje plugawe mrowie,
na szkielet dryndy się zwali zdyszana, charcząca hołota...
Batem go ruszą z miejsca — a w wielkiej kościstej głowie
będzie pusto... pusto... łagodnie i szaro i szaro od błota...

KROWY

Gdy świata wklęśła miska
zachodem zdąży naciec,
gdy cisza się wygładzi w rosy ostygła chłodzie,
na ciężkich zwałach kurzu
dymiącym leniwie z pod racic,
podejdą krowy ku wodzie
wracając na noc z pastwiska...

I zachód się nad niemi dożarza już gładki,
kiedy łby pochyliwszy, płowych łun oliwę
i blasku na powierzchni dyszące ostatki
spijają potem ciche, ciężkie, powściągliwe...

A wtedy, ich ku wodzie wiszące ogony
są spokojne i martwe, jak w powszedni dzień
twarde sznury dzwonnicy, kiedy milczą dzwony...

KWOKA

Kiedy piórami odęta
wgarniesz pod siebie kurczęta,
jesteś jak krzak ziemniaka
kopna i sypka i taka
jak tamte krzaki plenna...
O ty gorąca i senna
i roztrąszczona szeroko
czcigodna, zapoznana kwoko!

MISS CHLEWNIA

Wąwóz gościńca i spieka...

Pod siecią, z bardzo daleka,

jadą do rzeźni świnie.

Obłok jak ciepłe wymię,

wjeżdża nad zboczem pomału

w bzy dzikie, błędne z upału...

Ze szczęsną zadumą pod rzesą,

cierpliwie na wozie się trzęsąc,

jadą świnie w różanej nagości...

Na konkurs! Na konkurs piękności!

Wybrane z pośród tysięcy,

cnót pełne i krasy dziewczęcej...

Jak liść najkrwistszej begonji,

ucho emocją się płoni,

zwisając przez oko sieci.

I każda się ludzi rzewnie,

że ją to, ją to pewnie

okrzyknie dziś jury „Miss Chlewnią“!

Gościńiec pod wozem płynie,

wiew żaden skwaru nie rzeźwi...

I jadą tak, jadą do rzeźni

rozmarzone świnie...

DZIWY

„Pies wyje w biały dzień, Walenty wie?!“

„To źle...“

„A jak bzu się dzikiego krzak o studnię oprze?“

„To też niedobrze...“

„A jak lulek na cmentarzu kwitnie gęsto tak?“

„To znak...“

„Drzwi się same otwarły bez wiatru na dworze!“

„Najgorzej!“

„Oknem strychu nietoperz na słońce wylata!“

„Koniec świata!“

„W kominie znaleziono suchy zewłok sowy,
co to wszystko znaczy, niech Walenty powie!“

„A no, nic to innego“ — coś tak widzi mu się —
„tylko śmierć się gniazdowi w starym lamusie...“

LATO

Jest lato — lato — lato —
i błyskawicą suchą i skrzydlatą
co dreszczem nad światem migoce,
zapyla na pogodę
gorące noce...

POŁUDNIE

W południe, za sadem, sama oto jestem...
Lenistwo mnie wypełnia jak miód plaster pszczeleli.
Lata dech się gorący na powietrzu ścieli
i potrząsa matowym makówek szelestem...
...Gdzieś obok, trzmiel się wplątał w chmiel zielony złoto..
W południe, za sadem, sama jestem oto
z grzędami pachnącemi koprem i agrestem...

Porą, gdy nic się nie chce i na nic nie czeka,
myśli me precz sobie odeszły łaskawie...
Świat od rzęs się stulonych w oka mieni pawie,
krztuszącą wonią miodu zawiewa pasieka...
Ostatnie, co jak motyl ode mnie ulata,
to świadomość, że oto ostatek już lata
jak nić złota czasowi z igły się wywleka...

W południe, za sadem, sen morzy człowieka,
kiedy oczy zamknąwszy, leży twarzą w trawie...

PASIKONIK

To ja — to ja — to ja
świerszcz co mu w głowie zielono...
Cykam sobie trzy po trzy albo dwa po dwa...
Zielonych moich łokci załamane źdźbła
i wodniste kolanka prześwieciło słońce.
To ja. Pasikoń.
Pstrykają łąkowe.
Darmozjad, rzępolący na zielonej drumli
własnych boków,
szczęśliwy, chociaż nic nie umie,
głupawy i dlatego mędrszy niż rozumni.
Świat?... Może... Zresztą nie wiem...
Zieloną mam głowę
i oczy wysadzone na wierzch od patrzenia.
Pachnie zielsko...
Chłód ziemi zawiewa mnie z cienia.
Skokiem wypryskam sobie z traw to tu, to tam,
a zaś potem — na umor słońcem zachłyśnięty —
trę obu smukłych boków suche instrumenty...
...Świat? Dobrze... Może potem...
Nie mam czasu... Gram!

KOZŁONÓG

Nasi

Skulony, w czworo zgięty, przez ślaz i pokrzywy,
przykicał raz ku grzędom, brudny i szczęśliwy...

Wlaził między mak kwitnący, bób stłamsił i pogniótl,
węszył chwilę nieufnie pusty w słońcu ogród,

aż koźle, jedno z drugim, przysiadłszy kopyto,
ćpał głośno młodą marchew z ziemi wydobytą...

Słońce kudły mu grzało, więc się czochrał błogo,
raz łapą poza uchem, raz o nogę nogą,

jeszcze kleszcze nassane i resztki bodjaków
z pozlepianych żywicą wyskubywał kłaków,

a potem słuchał długo, jak sypki z gorąca
świerszcz, ciszą południową w powietrzu potrząsa...

... Pachnie koprem i ciepłym, poziomkowym liściem,
berberys na tle nieba ziarni się kropliście,

motyl, jak płatek maku zdmuchnięty z badyła
nad grządką się różową to wznosi to schyla...

A kozłonóg tymczasem psią uskubnął trawę,
wetknął między dwie pięści jej pióro chropawe,

i tak zadął w łap brudnych ciemność wydrążoną,
że mu w łap tych ciasnocie zapiało — zielono!

... Potem piał już raz po raz, raz jeszcze i wtóry,
aż się wszystkie w podwórzu rozgdały kury,

piał więc kurom naprzekór oddechem naduty
aż się wszystkie w podwórzu stropiły koguty!

JESIEN

Od chłodu cierpną już noce,
w sadzie jest pusto i źle,
aż do samego południa trawa rosami migoce...

Po sadu przejrzystem dnie,
ślany przez tłący chruszt,
nikły, wędzony dym błąka się, topi i mrze...

Od budy słoma wilgotna zawiewa jabłkami i psem,
owoce już zwiezione,
liść się okruszył suchy...

Usypia jesień w pogodę pachnącym, złotym snem...

A w kątach przejrziałych jej ust
i snem zawartych oczu,
jak na tym w trawie gnijącym owocu,
metalicznie błyszczące,
zielone i ssące,
śpią senne, jesienne muchy...

KAMIENNY FAUN

Pusty, zarosły park i drzew spłowiałe złoto.
Wilgotny cień wieczoru włóczyć się począł oto ścieżkami...

Smętku się błąka woń aleją i szpalerem
a cały park, ku ziemi, liści opływa szmerem i szeptem...

Czarne sadzawki szkło... Na środku faun z kamienia,
faun stary, nieruchomy, bieleje szaro z cienia nad wodą.

Włochaty zgarbił grzbiet, kosmate kuli uda,
jesienny owiał go chłód i drzew go skrapia ruda pożyta...

On, łowiąc każdy szmer i każdy szelest w parku,
wyciągnął łeb rogaty na czujnie zgiętym karku i słucho...

...A pod nim drugi faun, wiszący w głąb opacznie,
bieleje, póki cieni noc czarna kłaść nie zacznie po wodzie...

GDAŃSKA WÓDKA

Powietrze jest zimne, przejrzyste jak alkohol.
Mróz był w nocy... Śmierć kruchej listowia pozłótce!
Płyną liście ostatnie powolnym migotem,
niczem strzępki, strzępki złote
w gdańskiej wódce...

MIASTO

We mgle głuchej, jak w pleśni, miasto dziś się męczy...
Zatonęło po oczy w białej, lepkiej toni,
trotuarów wilgocią przyssało się do niej,
wsiało w nią latarniami rozwodnionej tęczy...

Wszystko jest dzisiaj głuche... Głos do mgły się lepi,
każde światło w powietrzu jak gwóźdź wbite siedzi...
Latarnie nóg nie mają, tylko oko z miedzi
tęczowe, nieruchome, bez rzes ni powieki...

One to, o spojrzaniach bezsensownie złych,
tną powietrze cieniami co się znikąd biorą,
na zasieki mgłę krają, mgłę białą i chorą,
gwiazdami rozprysniętych, nieruchomych szprych...

Tramwaj wyłazi wolno gdzieś z bocznej ulicy,
syczy drutem i brzękiem posypuje skręty...
Wjechał w mgłę, błysnął światłem przyroślem do pięty
i dał się znów z godnością połączyć kamienicy...

FUDŻIJAMA

Miska mgły modrej, różowej i burej,
a nad nią białe, przyśnione kontury,
cieniami i śniegiem opłyniętej góry...

Na pierwszym planie sosny pióropusze,
suche i sypkie, jakby chińskim tuszem
w niebieską gładkość wtopione powietrza...

Niech pan popatrzy!
Nawet oczu mrużyć nie trza...
Z mojego okna widać Fudżijamę!
Lwów?!
Nigdy na świecie!
Co też pan za rzeczy plecie...
To nie jest Wysoki Zamek!

MGŁA

Szaro i mokro... Zmierzcha już niestety.
Mgła się wciska w ogród, między żelazne sztachety.
Z początku była przeźroczysta,
potem stała się cięższa od powietrza,
bliźsza i bledsza,
a teraz już mętnieć zaczyna
jak tężejąca stearyna...

WIOSENNA ODWILŻ

Na rynnie z szumiącej blachy,
kartka atramentem zalana...
Kapią dachy!
I ktoś ma pokój do oddania...

Krople pod murem bijące,
śnieg mokry porozgarniały.
Resztą się zajmie słońce
i kanały.

Wzdłuż domów, radosną smugą,
od kropli co kapią gęsto,
czerwieni się, martwe tak długo,
chodnika różowe mięso...

SOBOTA

Cisza przysłała przez ganek, z podwórza na dole...
Żurnale już złożone zastała na stole,

szpilki w twardą poduszkę znowu powbijane
i maszynę przykrytą, wsuniętą pod ścianę...

Figura — ta bez głowy — o wciągniętym brzuchu,
dech wstrzymawszy, szarżała za szafą bez ruchu,

z namaszczeniem płóciennem i od spodu pustem,
naprzód cała podana polstrowanym biustem...

Na ciężkiej woni świeżo upalonej kawy
płynie zmrokiem sobotnim zapach różowawy,

zaciąga jak dym w pasmach od strony komody,
gdzie po uszy pachnące włożona do wody,

moknie oto samotna, jak łódź przy wybrzeżu,
płaska twarz centyfolji w głębokim talerzu...

NIEDZIELA

Ład, mdły zapach tłuszczu i cisza odświętna
nudzi się w pustej kuchni wystygła i obojętna...

Kucharka na nieszporach... W kłębek zwity ciasno
kot stary, najedzony, w nogach jej łóżka zasnął...

Nad opasłą białością poduszek się płoni
rubinowy płomyczek przed świętym Antonim,

a ciszy się i nudzie broniąc zamasyście
duży, kuchenny budzik tętni trzeźwo i służbiście...

W PODWÓRZU

Słyszycie!? Zlewa! Tyle szumu, huku...
Słyszycie?! To deszcz bije o kamienie bruku!

Pociemniało podwórza dno szare i suche,
strug prażących radosnym roztańczone ruchem.

O wynieście z suterren wazonki, doniczki!
Niech przemokną radością do zielonej nitki

więźniowie waszych okien, męczennicy niemi!
Niech raz znowu poczują zapach mokrej ziemi!

Prędko! Nim zlewa minie... To nie potrwa długo...
Tę nadbitą doniczkę... tak... i tamtą drugą...

Niech je z kurzu deszcz bębniąc opłócze, oczyści,
niech nareszcie zieleni odpyta u liści...

Lak okwitły ze szczęścia niechaj traci głowę,
niech na fuksji kolczyki się trzęsą różowe,

i niech resztkę weselnej swej woni ocali
ten mirt, w niebieskim garnku obitym z emalii!

SUTERENY

W oknie co brodę oparło o bruk,
przemijający stukot nóg,

nic, tylko tak ciągle, cały boży dzień,
światło cięte, strzyżone, przez nóg obcych cień...

Duszno i ciasno, stęchlizna i brud,
ktoś w słoik nadbity więź czeremchy wgniótł,

i w gorzkim jej zaduchu jątronym przez zmrok
przepada to, czem pachnie brud, wilgoć i kot...

...A tam w górze wciąż kroków rozdzwoniony stuk
i niebieskie ulice i różowy bruk

i latarni ulicznych wydłużony pas,
wąskie dachów kanały otwarte do gwiazd

i kręcące się wkółko schryplę „Ay=ay=ay“
i maj...

BIAŁA GODZINA

Pękła nad miastem w skwarze upału
godzina jak strąk dojrzały
i w duszną ciszę, rozważnie, pomału,
krągle się ziarna posypały...

I wytrząśł dźwięków groch toczony
zwysoka, w gorące miasto,
na białe dachy,
na dachów blachy,
białą godzinę jedenastą...

CHRZĄSZCZE RÓŻANE

O chrząszcze wy różane, mieniące, swędzące!
Gdy wam duszę manjacką raz wonie odurzą,
— nieruchome i błędne od krwawego czadu,
wpięte w czerwień naukos albo głową na dół —
wżeracie się naoslep w ciepłe serca różom...

Sypiecie się przez ręce, płaczą wam się nogi,
na grzbiet padłszy, wstać potem już nie macie siły...
O chrząszcze! Wy, w różaną wplątane kabałę,
twarde, tępe, upite i zapamiętałe,
w różach, w różach drążące wnęki waszych mogił!

II

To nie róża! Zostawcie!
To jest serce moje...
Tak... Jak róża czerwone.
Takie skręty, zwoje...

Precz zabierzcie już wasze swędzące nieznośnie
roje nóg! To nie róża, co u płota rośnie!
O wy nieustępliwych, złych myśli chrabąszcze!
Zagryzacie mi serce i w bolące gąszcze
ciasno zwiniętych płatków pchacie się przemocą!
I tak zginę! Zostawcie!
To nie róża! Poco?!

SLEPY TOR

W letniem słońcu usnięty tor się grzeje ślepy...
Rdest go zarósł zielony, podbiał mięsisty i lepki,
świat go odtrącił, ludzie się wyrzekli...
Z początku, jak ranny bawół,
szyn rogi w przeszkody wbił wał
i długo tak w buncie trwał,
ale potem, z poddaniem, położył się płasko,
dał się rdzy we władanie,
dał wleźć na siebie chwastom,
zalał go podbiał i rdest...

Dziś mu już cicho i nijako
tak, jakby prawie zapomniał że jest...
Wie, jak przez sen, jak w śnie rozumie,
że to pociągi mijają go w szumie,
że to stacyjka drutami tak jęczy,
że z pod nostryka
skwar tak świerszczem strzyka,
tyle wie — i niczego nie chce wiedzieć więcej...
Szyn zrudziałych bezsensem w łupku zarył wał,
w słońcu płaski grzbiet grzeje i tylkoby spał...

ODJAZD

I już! Już po wszystkim... Po słońcu, po lecie...
W ogródku kolejowym gdzie kwiaty też gasną,
niski cień pachnie ziemią i późną lewkonją...
Jeszcze wczoraj o zmroku ciepło było przecie.
Jeszcze dzisiaj w południe słońce ciepłą dłonią
gładziło nasze głowy... Teraz chłód już... Szkoda.
Milczmy lepiej. Mam serce ściśnięte tak ciasno,
jak kwiaty w pożegnalnym, zmęczonym bukietcie,
który mi potem oknem do przedziału podasz...

SŁOTA

Szyby płaczą... Słota.
Liście twarzą przyłgnęły do błota,
a inne, płaskie i duże,
wyścieliły kałuże...
... Deszcz po szybach krople toczy,
wiatr z za węgła chłapie błotem,
jedne tylko twoje oczy,
nawet w takiej plucie miejskiej,
w taką słotę
i wichrzysko,
zawsze, zawsze, mimo wszystko,
będą tak samo niebieskie...

SKARGA ŁĄKI

Łąką byłam...

Chmur cienie szły po mnie jak w śnie...

Łąką słodką, soczystą, płynną sykiem traw,
łąką słońcu oddaną i uległą wiatrom.

Dziś jestem staw...

Martwa cisza przygniotła mnie płasko na dnie,
gdzie w namułu gładkości niedługo się zatrą
skib wyboje, mówiące o porażce darni.
Zoralil Pocięli! Podarli!

O wicherze, coś mnie sucho przebrnąć umiał wpław,
o szeleście rozchwianych, pylących się traw,
zapachu zimnej mięty i rozgrzanych ziół —
gdzieście?!

Tu — cisza i ten ciężar co się obojętny,
groblami podtrzymany tak piętrzy nade mną
i majak wodorostów nieruchomy, senny
i muł,
co warstwą mnie ciemną
zasuwa, zarasta...

TOPIELICA

U szyi twej, tętnami na alarm bijącej,
topielicy bezwładnej trup się wieje blady...
Choć ci palce w kark żywy aż do krwi się wzarły,
wzrok obleśny przez wodę poszedł na wywiady
i płasko a pobożnie zagapił się w słońce...
Odrąć ją! O ratunku tam już niema mowy!
Nie wiedziałeś jak silnym może być umarły!
Włosy dębem wkrąg krągłej stanęły jej głowy,
jest lekka i jest giętka, kształt obły i pusty,
co przecie dusicielskich nie rozwiera szponów!
Czy nie słyszysz już w wodzie huku mętnych dzwonów?!
Ratuj się! Jeszcze chwila, a będzie za późno!
Odrąć ją! Niech wypłynie ku powierzchni luźno,
pić śmierć własną z powietrza otwartemi usty...
Nie daj wciągnąć się na dno! Martwe rozczep kleszczel!
Ona i tak nie żyje! Ty możesz żyć jeszcze!

KRZYWDA

Milczysz uparcie — a przecie
na wszystkie przysięgam ci moce,
że krzywda o której się milczy,
rośnie jak suma złożona
na bardzo wysoki procent!

JAK MUCHA

I poco... poco... poco?
Coś ciągle,
dnem i nocą,
męczy się w człowieku,
bżyczy i trzepie,
rozkrzyżowane jak mucha
żywemi skrzydłami na lepie...

PRZECZUCIE

Uciekają ode mnie radości,
spłoszone, pełne zamętu,
jak szczury,
nocą,
po pomocy
mającego jutro utonąć
okrętu...

CHORA JASKÓŁKA

Zimno mi... Trzęsę się cała.
Zostałam, bom sił do odlotu nie miała...
Zima mroźna, lodowata,
zapominam jak się lata,
gniazdo stygnie pod okapem,
nie wiem już jak było latem,
mróz ściska szczęki żelazne...

Może Bóg da, że dziś w nocy zamarznię!

LULI

od cioci

<http://rcin.org.pl>

TWÓJ PACIERZ

Wierzę, że jest we dnie jedna jedyna chwila,
na którą stary Pan Bóg z tęsknotą zawsze czeka.
Ma już dość słońc i gwiazd, próśb i przewinień człowieka,
od swej samotnej wielkości strudzona myśl Mu ucieka...
...Wtedy to, z głębin nieb swą siwą głowę wychyla,
rozgarnie pszczoły gwiazd i mlecznych dróg powodzie,
komet szerszenie złote, gdy Mu ugrzęzną w brodzie,
odrzuca precz syczące i z pośród chmur przedziwa
do twych złożonych rąk znużoną zbliża twarz...

...Masz długą, nocną koszulkę i rączki stulone masz
i mówisz słowa za wielkie, nierozumiane a święte...

...Wszystko widzące oczy ma Bóg w tej chwili przymknięte
i poprzez syk i brzęk i wirowanie gwiazd,
kiedy się za Nim wieczność kotłuje przepastliwa,
słucha cię uśmiechnięty i odpoczywa...

ZROZUMIENIE

Puka ci pod fartuszkiem serce jak złoty budzik...
Czekaj! Posłucham chwilę... Mnie chyba słuchać wolno...
Wiem przecie, że w każdym z ludzi,
czasem prędko, czasem wolno,
taki mechanizm pulsuje...
A jednak gdy słucham mrugania, co w tobie tętni,
czuję,
jak mnie za gardło niespodzianie dusi
krztuszący chwyt zrozumienia,
myśl, która się będzie nade mną
bezkarnie potem znęcać...
...Że nosisz tak codzien i w święto,
tętniącym, ciepłym kłębuszkiem
pod kolorowym fartuszkiem,
sprężynę ciasno zwiniętą,
która się ciągle już musi
rozkręcać,
rozkręcać,
rozkręcać...

ZABAWA

Wiesz co, ptaszeczku? Chcesz,
będziemy w piłkę grać?
Ty rzucisz mnie twój balon,
a ja ci serce odrzucę...
Bo to już jedno dziś wiem
po gorzkiej życia nauce,
że w twoich tylko łapczkach
może bezpiecznie spać...

DLACZEGO...

Dlaczego dziś, kiedy to jest tylko sad
i wiosna w rozkwicie,
kretowina i rowek i trawa,
wolno mi cię prowadzić za rękę,
— a kiedy to będzie Życie
złe, nieznające litości,
nie będę już miała do ciebie
ani tego prawa,
ani tej śmiałości?
Dlaczego?

ULGA

Gdy mi już czasem bardzo, bardzo źle
i głowę mam ciężką i płonąca,
kiedy w cierpienia popielatym dymie
myśli się wędzą i mącą,
jak płatek róży,
wklęsły i duży,
kładę na sercu twe imię...
Bo przez tę prawdę prostą a zawiłą
z życiaś mnie pustką pogodziło
że jesteś...

WESTCHNIENIE

O Maju, Maju, poczekaj!
Tchu nabierz, wstrzymaj bieg!
Za prędko taje, ucieka,
okwitu wonny śnieg...

Sad w blasku słonecznym tonie,
puch drzew precz z wiatrem ulata...

O Maju, Maju, litości!
Ty znowu po roku zagościsz
i będziesz panem świata,
a raz tylko kwitną jabłonie
gdy ona ma — trzy lata!

CIENIE NA PIASKU

<http://rcin.org.pl>

I

Wielu było, których łaska dźwignęła z topieli...
Całe rzesze płynące wślad za Nim drogami...
Umarli, których wskrzesił,
ślepi, co przejrżeli,
niemocni, chorzy, chromi chodzący już sami...

Lecz bliżsi mojemu sercu są tamci, nieznani,
o których milczą księgi,
a o których gorycz mi moja więcej opowiadać umie
niż myśl chce
i więcej, niż może zrozumieć...

Bliżsi mojemu sercu są ci, co nie doszli,
ci, którzy nazbyt długo o drogę pytali,
ci wszyscy ślepi, chorzy, od tęsknoty biali,
ci wszyscy od nadziei i męki pobladli,
co na czas nie zdążyli,
co się nie dopchali,
i którzy zostali
i którzy przepadli...

II

Za ciężką płytą białego kamienia,
— na którą pewnie, przez modrą sieć cienia
co niepokoję rozwłócza pajęcze
plamy słoneczne przeciekły ospale —
w cudu daremnem czekaniu się męczę...

Odeszły mnie głosy sióstr mych umęczonych łzami,
krzątających się stąpań sług nie słychać wcale,
psa, co węszył szczeliny dawno odegnali
i ze sercem umarłem zostaliśmy sami,
ja i ono, milczący w grobowej ciemności...

Czy w dom sióstr moich nigdy nie przyjdzie już w gości?
Czy przyszedłszy nie spytał czemu w domu same?
A może one obie, w głos ów zasłuchane,
zapomniały Go prosić o cud mocy bożej,
której grób się zawarty mógł jak strąk otworzyć?

Nie wiem oto... Od świata dzieli mnie chłód płyty,
własny bezwład i płócien śmiertelnych owicie...
Spętany ciasno, w ciemność i ciszę spowity,
nadsluchuję umarły, czy się po mnie życie
wróci jeszcze i kamień odwali u grobu...

III

Zanim przez życia nędzę, jak przez potok przebrniesz
o duszo moja, duszo,
wszędzie,
gdziekolwiek się zwrócisz, gdziekolwiek się udasz,
win człowieczych dosytem pobrzękując srebrnie,
serce moje za tobą zawsze wślad iść będzie
jak za Chrystusem Judasz...

Przełamie się z tobą chlebem umaczanym w winie,
o duszo moja, duszo,
a potem,
choć ty mu jedna mogłaś być ratunkiem,
pewnej nocy gwieździstej, o późnej godzinie,
przy pochodni spłoszonych łopotaniu złotem,
wyda cię pocałunkiem...

IV

Gdy się Ciebie me serce pierwszy raz zaparło
w ów dzień rozpaczą zatruty,
gdy mi od męki w oczach było czarno,
gdy mi od męki w oczach było ciemno,
nie płonął ogień przede mną,
nie piały wcale koguty,
i niespytane nigdy wtóry raz —
umarło...

V

Był czas
gdy można było wszystkiemu jeszcze zaradzić!
Tyś jeden wiedział tylko
dokąd ta droga prowadzi!
Ty jeden, Ty, nikt więcej,
widziałeś u jej kresu nocą ziejące urwisko
i Ty, Mogącywszystko,
umyłeś ręce!

VI

Podnoszę ku Tobie nadzianą na trzcinę
gąbkę mojego serca, przesiąkniętą jak tamta
octem i żółcią...

O dotknij jej ustami!

Dotknij zanim zginę!

Przecie Ty się nie możesz — jak ja oto —
struć nią!

VII

Już cicho serce... cicho...
Trzeba to wreszcie zrozumieć...
Kwiat może — tylko pachnąć,
liść może — tylko szumieć...
Owocu złotość ryża
odtoczy się po pomroce
okalającej świat...
... Czy kto dziś pyta, jaki kwiat
i jakie przedtem owoce
rodziło drzewo krzyża!?

VIII

Jak kamyki z pokory aż płaskie i szare,
leżę, twarzą wciśnięta w proch u Twoich nóg
i dziękuję, żeś raczył Łaski swej ciężarem,
wdeptać mnie, szary kamyk, w jedną z Twoich dróg...

ŚWIATOWID

Przechodniowi

mijane

ŚWIATOWID

Na północ i na zachód, na wschód i południe
zwróciła moja prawda swoje cztery twarze...

Na północ patrzą oczy złe i w złem odważne,
niecierpliwe i życia łakome niesycie...
Złe w nich myśli w bezkarnym plenią się rozkwicie
i kłamstwo przy nich zawsze czują pełni wartość
wtedy nawet, gdy szczerłość udają obłudnie.
Przechodniu! Jeśliś zajrzał w te oczy otwarte,
złe ich nie sądz, lecz omiń jak zatrutą studnię...

Pod wiatr wschodni ustami zachłannie podana,
druga twarz się ku słońcu wyciąga pragnąca.
Zna modrość letnich zmierzchów i rosistość rana,
szelesty traw kwitnących gdy je wiew roztrąca...
Wie jak pachnie pręt wierzby tęskniący ku wiosnie
i jak pośpiech na skrócie wodę łamie szklanie...
Nieustanną radością przepelnia ją trwanie
wszystkiego co się staje, rozkwita i rośnie...
Wszystko jej się tak proste wydaje na świecie
jak źdźbło trawy, czy pasma słonecznych promieni,
jak to, że do dni końca kształtu liść nie zmieni
i to, że czas odnowi wszystko co rozmicie...
Nie wie co to zasługa i nie wie co wina,

tylko się czuje jednym ogniwem łańcucha,
co z wieczności bezkresem każdą chwilę spina
wtedy nawet, gdy szmeru traw kwitnących słucha...
Z radości pobłażliwa, roślinnie pogodna,
w oczy słońcem olśnione zajrzeć da ci do dna...

Twarz zachodnia, ku słońcu zwrócona żegnaniem,
tym samym się dojrzałym półuśmiechem mieni
co wyzbyta nadziei mądra twarz jesieni...
I niczego już nie chce, bo wszystko przemienie...
A jeśli spotka kiedy oczy pytające,
to jak wiatr przez powietrze nawskróś je przepłynie
z uporem w konające zapatrzona słońce...
Gdybyś oczy tej prawdy przeniknęła oczyma,
owionie cię żal marzeń, których nic nie ziści,
jak ten sad, gdzie już stróża ni owocu niema,
sam jeno chłód od wspomnień złoty i od liści...
Na tęsknotę już nawet za późno w tym sadzie
jak za późno na świerszcza u schyłku jesieni...
Pod chłodne skrzydła nisko rozesłanych cieni,
cisza tylko się krzyżem między pniami kładzie...
Odwróć głowę i odejść. Niczyja twarz żywa
nie powinna oglądać tej, co dogorywa...

Oczy szczelnie zawarte jak dwa ciężkie wieka,
ma moja twarz ostatnia, biała i umarła...

Między żywe wciśnięta, martwo się oparła
o trzy tamte, na które cierpliwie poczeka.
Kto ją zabił i kiedy, dlaczego i poco
nie pamięta, a choćby wiedziała, nie powie...
Gdzie się dawniej myśl przędła, teraz w zimnej głowie
czarne śmierci się dymy kłębią, dmą i kopcą...
Gdy raz spłyną ku sercu szyją czworoboczną,
uczują niespodzianie tamte żywe głowy,
zawrót jakiś przemożny, śmiertelny, tęczyowy,
cztery strony się świata w dzikim stopią wirze,
myśl, w lej ssący lecąca, na błysk jeszcze przywrze
do obrzeża tej mętnej, kołującej toni...
— A potem przyjdzie spokój, co wszystko przysłoni,
spokój, o jakim żywym mówić się nie ważę...

— — — — —
Na północ i na zachód, na wschód i południe
zwróciła moja prawda swoje cztery twarze...

SPIS RZECZY

GŁÓG PRZYDROŻNY	7	SOBOTA	47
W TŁUMIE	8	NIEDZIELA	48
JEDYNY SPOŚÓB	9	W PODWÓRZU	49
MÓJ PRZEPIS	10	SUTERENY	50
JAK KRET	11	BIAŁA GODZINA	51
VARENNES	12	CHRZĄSZCZE RÓŻANE	52
MALMAISON	13	CHRZĄSZCZE RÓŻANE II	53
ŻEGLARZU NIEOPATRZNY	14	ŚLEPY TOR	54
PRZEZORNOŚĆ	15	ODJAZD	55
SNY	16	SŁOTA	56
SEN W GORĄCZCE	17	SKARGA ŁĄKI	57
SUKNIE	19	TOPIELICA	58
ANIOLY STRÓŻE	21	KRZYWDA	59
PRZEDWIOŚNIE	22	JAK MUCHA	60
GARŚĆ ZIEMI	23	PRZECZUCIE	61
LATAJĄCY DYWAN	24	CHORA JASKÓŁKA	62
NOC W WAGONIE	26		
NOC W OBCYM GOŚCINNYM POKOJU	27	LULI	
NOC NA MOŚCIE	28	TWOJ PACIERZ	65
PUSTY COKÓŁ	29	ZROZUMIENIE	66
KOŃ	30	ZABAWA	67
KROWY	31	DLACZEGO	68
KWOKA	32	ULGA	69
MISS CHLEWNIA	33	WESTCHNIENIE	70
DZIWY	34		
LATO	35	CIENIE NA PIASKU	
POŁUDNIE	36	I	73
PASIKONIK	37	II	74
KOZŁONÓG	38	III	75
JESIEŃ	40	IV	76
KAMIENNY FAUN	41	V	77
GDAŃSKA WÓDKA	42	VI	78
MIASTO	43	VII	79
FUDZIJAMA	44	VIII	80
MGŁA	45		
WIOSENNA ODWILŻ	46	ŚWIATOWID	
		ŚWIATOWID	83

*TEJŻE AUTORKI
UKAZAŁY SIĘ NAKŁADEM BIBLIOTEKI MEDYCKIEJ:*
„GITARA I TAMCI”, OPOWIEŚĆ. MEDYKA, 1925.
„PSZCZOŁY W SŁONECZNIKU”. MEDYKA, 1926.
*„O BRACIACH MROŻNYCH”, SENKALENDARZOWY”
Z BARWNYMI ILUSTRACJAMI L. PAWLIKOWSKIEJ,
MEDYKA 1930.*
„KLONOWE MOTYLE”, POEZJE. MEDYKA, 1932.



**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA**
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

E R R A T A:

<i>Str.</i>	<i>wiersz:</i>	<i>zamiast:</i>	<i>ma być:</i>
85	8 z dołu	kapiszonem były	kapiszonem zrzuconym przed chwilą były
88	13 "	przyprzycięte	przycięte
134	6 "	bez słowa i tak	bez słowa, tak
145	10 z góry	pokazać	okazać
162	9 z dołu	wymownie, że	tak wymownie, że
203	14 "	pochyloną tak z	nachyloną z tak
248	1 z góry	Patrzył	Patrzyły
257	4 "	dotyczące jego	dotyczące swych
277	14 "	wreszcie do winy	wreszcie jak do winy
422	1 "	ją potulnie	potulnie jej
467	10 "	z licznej	ślicznej
468	6 z dołu	spodowała	podobała
473	4 "	inproductivité	improductivité

T A B L E

Page	Chapter	Page	Page
1	Introduction	1	1
2	Chapter I	2	2
3	Chapter II	3	3
4	Chapter III	4	4
5	Chapter IV	5	5
6	Chapter V	6	6
7	Chapter VI	7	7
8	Chapter VII	8	8
9	Chapter VIII	9	9
10	Chapter IX	10	10
11	Chapter X	11	11
12	Chapter XI	12	12
13	Chapter XII	13	13
14	Chapter XIII	14	14
15	Chapter XIV	15	15
16	Chapter XV	16	16
17	Chapter XVI	17	17
18	Chapter XVII	18	18
19	Chapter XVIII	19	19
20	Chapter XIX	20	20
21	Chapter XX	21	21
22	Chapter XXI	22	22
23	Chapter XXII	23	23
24	Chapter XXIII	24	24
25	Chapter XXIV	25	25
26	Chapter XXV	26	26
27	Chapter XXVI	27	27
28	Chapter XXVII	28	28
29	Chapter XXVIII	29	29
30	Chapter XXIX	30	30
31	Chapter XXX	31	31

K
187